All communications must be addressed:

J. F. SMULSKI & Co.

565 Noble St

CHICAGO, ILL.

J. F. SMULSKI i Sp
wydawcy.



Wychodzi co czwartek.

Kosztuje rocznie $1.00 Abonenci Gazety Katolickiej płacą tylko 50 c; do Europy: z Gazetą $3.00, bez Gazety $1.50. Abonament musi być naprzód opłacony. Pokwitowań nie ogłasza się. Gaz. Katolicka sama kosztuje $2,00.

Rok XV. CHICAGO, ILLINOIS, 22go LIPCA 1897 ROKU. Nr. 29.

Entered at the Post Office of Chicago, Ill. as second class matter.

Aprobowany przez Najprzewiel. Arcyb. P. A. Feehan z Chicago.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

KALENDARZ. — Czwartek 22 Lipca, Maryi. Piątek 23 Lipca, Liboryusz. Sobota 24 Lipca, Krystyny. Niedziela 25 Lipca, Jakóba apost. Poniedziałek 26 Lipca, Anny m. P. M. Wtorek 27 Lipca, Pantaleona. Sroda 28 Lipca, Nazaryusz

Na Niedzielę VII po Zielonych Świątkach.

Ewangielia św. Marka w rozdziale VII.

W owym czasie rzekł Jezus do uczniów Swoich: Strzeżcie się pilnie fałszywych proroków, którzy przychodzą do was w odzieniu owczem, a wewnątrz są wilkami drapieżnymi. Z owoców ich poznacie ich. Czyliż zbierają z ciernia jagody winne, albo z ostu figi? Tak wszelkie drzewo dobre, owoce dobre rodzi; a złe drzewo złe owoce rodzi. Nie może drzewo dobre, owoców złych rodzić; ani drzewo złe, owoców dobrych rodzić. Wszelkie drzewo, które nie rodzi owocu dobrego, będzie wycięte i w ogień wrzucone. A przeto z owoców ich poznacie ich. Nie każdy, który mówi mi: Panie, Panie! wnijdzie do królestwa niebieskiego; ale który czyni wolę Ojca Mego, który jest w niebiesiech, ten wnijdzie do królestwa niebieskiego.

Tyle jest słów Ewangelii św. na Niedzielę dzisiejszą.

ŚWIĘTA KUNEGUNDA.

Dokończenie.

IV.

Po dniach trwogi i niebezpieczeństw nadeszły chwile weselsze. W lat kilka po burzy tatarskiej zapragnęli rodzice widzieć u siebie kochaną swą córkę. Chcąc Kinga zadośćuczynić woli rodziców, wybrała się w drogę do Węgier. Było to roku 1247. Przyjmowana wszędzie z miłością i uszanowaniem, dostojna pani stanęła szczęśliwie na ziemi węgierskiej. Z wielką radością powitali sędziwi królestwo węgierscy kochane swoje dziecię, pośród zgromadzonego wielkiego mnóstwa ludu, wśród odgłosu muzyki i dzwonów, na zamku królewskim w stolicy węgierskiej, Bydzyniu. Zalani łzami radości dziękowali Bogu, że ich tak świętą obdarzył córką i tak bogobojnym zięciem.

Podczas tych odwiedzin miało miejsce wydarzenie, które cudownej legendzie dało powód.

Wiedział król Bela, że rozrywki hałaśliwe nie bawią Kingi, że nie lubi zabaw światowych, ni igrzysk rycerskich, obwoził więc córkę dla rozrywki po różnych okolicach swego kraju. Między innemi, aby ucieszyć miłego gościa widokiem podejmowanej w kopalniach pracy górniczej, zwrócił ojciec podróż w okolicę Marmorusz, posiadającej bogate kopalnie soli. Zatrzymał się podróżny dwór królewski w jednej z żup tamtejszych, otwierających się kilkoma szybami w solną głąb ziemi. Niezwyczajny obraz pod ziemnego trudu kopaczy zajął wielce mło-

dziuchną księżnę, żywe atoli przywiązanie do ziemi po tamtej stronie gór i do narodu polskiego, zasępiło ją myślą, czemu i kraina krakowska nie ma tak obfitych kopalni soli kryształowej, jakie właśnie podziwiała w ziemi marmoruskiej. Wtedy też miała prosić ojca i otrzymać w darze jeden z szybów widzianych i biorąc go w posiadanie, obyczajem tamtych czasów, kiedy różnemi znakami symbolicznemi dopełniano wywłaszczenia, młoda księżna, pół żartem, pół seryo, zdjęła z palca złotą obrączkę i w otwór szybu wrzuciła. Od tej chwili kopalnia ta stała się własnością Kingi.

Gdy nadszedł czas powrotu, zabrała z sobą księżna liczne wozy solą ładowane do Polski, gdzie dotąd przeważnie tylko warzoną sól wodną używano, tak zwaną surowicę. Była wprawdzie już wtedy znaną i u nas w Wieliczce tudzież w innych miejscach przyległych sól kamienna, lecz tej nie starczyło nawet na potrzeby ludności z okolicy.

Nie na tem atoli kończy się dobrodziejstwo Kingi. Przemyśliwała ona ciągle, jakby to stać się narodowi pożyteczną, sprowadziła więc biegłych z Węgier górników, ażeby ci istniejące wprawdzie ale biedne żupy solne krakowskie lepiej zbadali, urządzili i rozszerzyli.

Zabrali się górnicy do poszukiwań. Kopali to tu, to tam, ale nadaremnie. Tak upłynęło kilka lat. Kinga zachęcała ich do pracy i nie szczędziła grosza na te roboty, bo miała jakąś wiarę, że praca nie będzie daremną. Aż oto po kilkuletnich poszukiwaniach w r. 1251, za staraniem naszej księżniczki i patronki Kingi, dokopano się w Bochni pokładów soli kryształowej i to w takiej obfitości, że nietylko dla Polski wystarczyła, ale i innym narodom sprzedawać ją mogliśmy.

Powtórzyły się różne legendy, które rozsławiły wielką w istocie zasługę księżnej około kopalni soli u nas, mianowicie legenda, że w pierwszym dobytym w Bochni bałwanie soli znaleziono i wręczono księżnie pierścionek, wrzucony przez nią do kopalni marmoruskiej. Odtąd, jak z wyzwoleniem od najazdu tatarskiego, tak i z odkryciem soli w Bochni imię świątobliwej Kunegundy zespoliło się we wspomnieniach narodu.

V.

Święta nasza księżna, chociaż już tyle dobrodziejstw wyświadczyła, chciała inną jeszcze narodowi zostawić pamiątkę. Słyszała i widziała Kunegunda rozmaite i wielkie cuda, jakie Pan Bóg łaskawie działał na ziemi polskiej za przyczyną błogosławionego Stanisława, biskupa krakowskiego; umyśliła więc starać się u Ojca św. o uroczyste wpisanie Stanisława w poczet Swiętych Pańskich. Naradziwszy się tedy z biskupem Prandotą wysłała poselstwo do Ojca św., prosząc pokornie w imieniu narodu polskiego o uroczyste kanonizowanie czyli ogłoszenie świętym Stanisława.

Panujący wówczas papież Innocenty IV łaskawie przyjął poselstwo polskie i kiedy dowody świętości należycie stwierdzone zostały, ogłosił d. 8 września 1253 uroczyście dekret kanonizacyi św. Stanisława i zalecił, by w całem chrześciaństwie dnia 8 maja, jako w dniu męczeństwa, święto jego obchodzono.

Biskup krakowski ogłosił uroczysty obchód na dzień 8 maja następnego roku. Nieprzeliczona moc ludu, szlachty, kilku biskupów i książąt zjechało się do Krakowa, aby być uczestnikami wielkiego tego święta.

Tak więc za przyczynieniem się naszej Kingi pozyskał naród w św. Stanisławie, biskupie i męczenniku krakowskim, nowego patrona!

VI.

Wygoiła się Polska z ran ciężkich, jakie poniosła w walce z pohańcami. Wy-

pięknia Kraków prawie nie do poznania, kiedy znowu Tatarzy, ujarzmiwszy Ruś, szybko zbliżali się do Polski. Było to w r. 1260.

Nic im drogi nie tamowało. Rzeki pozamarzały, więc po lodzie jak po mostach przeprawiali się, aby łupić krainę, która ledwo odetchnęła po pierwszej klęsce.

Padł znowu Lublin ofiarą, padły liczne klasztory, padło wreszcie miasto Sandomierz ze swym starostą Piotrem Krępą na czele, poczem ruszyli Tatarzy na Kraków.

Na tę straszną wieść kto mógł opuszczał miasto, uchodząc z życiem. Książę Bolesław wraz z żoną, nie czując się dość silnym do stawienia czoła Tatarom, uszli w góry sandeckie, zwane Pieninami, kryjąc się tam przed dziczą tatarską. Chodząc po górach upatrzyli sobie między skałami pewne miejsce, kryjówkę, w której mogli się czuć bezpiecznymi przed Tatarami. Tu w górach pobyt był najbezpieczniejszym; tu Tatarzy nie szli daleko, bo byliby pobłądzili i z głodu pomarli, a rabować nie było co. Kryjówkę tę nazwano później zameczkiem św. Kunegundy.

Tymczasem Tatarzy, których nie było teraz tak wiele jak przy pierwszym napadzie, jak spadli prędko na ziemię polską, tak też prędko ją opuścili, dając odetchnąć biednemu narodowi.

Znowu więc miał książę i księżna pracy nie mało, aby podźwignąć cierpiących niedolę. Księżnej, opiekunce chorych, przybyło niemało rannych i zgłodniałych. Z równą zawsze dobrocią, łagodnością i miłosierdziem zajęła się ubogimi, ocierając łzy sierot, garnąc do siebie niemowlęta, które straciły matki.

Tak, nie ustając w nabożeństwie i dobrych uczynkach, prowadząc żywot iście święty, lekceważąc dostojność i urodę, szyjąc całemi dniami własną ręką dla ubogich i kościołów, przeszło Kunegundzie lat sporo, kiedy stroskany kłopotami Bolesław Wstydliwy ciężko zaniemógł. Pomimo usilnych starań i niezwykłej troskliwości, jaką chorego otaczała jego małżonka, życia mu uratować się nie dało. W trzy dni po przyjęciu śś. Sakramentów, w niedzielę z rana dnia 10-go grudnia 1279 r. oddał Bogu ducha pobożny, sprawiedliwy, dobroczynny książę polski Bolesław Wstydliwy, przeżywszy lat 58, a w małżeństwie z żoną swoją św. Kingą, lat 40, pochowany w Krakowie, w kościele św. Franciszka.

VII.

Po śmierci męża, mimo usilnych próśb panów, aby rządy państwa zatrzymała, Kinga odmówiła im, poświęcając ostatek życia wyłącznie Bogu. Następcą po Bolesławie został bratanek jego, Leszek Czarny, tak zwany od włosów kruczych i od stroju żałobnego, jaki nosił całe życie. Kunegunda, przyjmując regułę św. Klary, udała się do zbudowanego już dawniej przez siebie klasztoru w Starym Sączu i uposażyła go teraz jeszcze lepiej, obracając na ten cel wszystkie dochody swoje i kosztowności, zapisując klasztorowi także swoje posiadłości w ziemi sandeckiej, jakie jej przypadły jako wynagrodzenie za cały jej posag, który poszedł swego czasu na zaciągi wojsk. Lud w żalu po zgonie Bolesława, a usunięciu się Kingi od rządów, powiadał: ,,Oboje razem popomarli, książę śmiercią, a księżna zakonem''.

Złożywszy uroczyście śluby zakonne, stała się Kinga od razu doskonałą zakonnicą, przewyższając w pobożności i pokorze najstarsze swe siostry zakonne. W krótkim czasie tak wysoko wzbiła się do doskonałości, że gdy ksieni czyli przełożona klasztoru umarła, jednozgodnie obrały ją zakonnice swą przełożoną. Długo wypraszała się Kinga od tego zaszczytu, aż wreszcie, ulegając posłuszeństwu, które ślubowała, przyjęła tę najwyższą godność w klasztorze.

Ale Kunegunda i w celi klasztornej nie zapomniała o ogólnych potrzebach narodu. Ufundowawszy klasztór, utworzyła przy nim szpital, przytulisko dla sierot i kalek a nad to szkołę klasztorną dla dziewcząt, w której zakonnice pod jej nadzorem udzielały różnych nauk i robót kobiecych.

Cała okolica doświadczyła wnet dobrodziejstw byłej księżnej. Wsie, rządzone łagodnie, wzbogacały się. Ksieni nie szczędziła grosza na podniesienie gospodarstwa — zakwitło pszczelnictwo.

Wiele trzebaby pisać, aby wyszczególnić wszystkie dobrodziejstwa, jakie spłynęły na ludność okoliczną za działaniem świątobliwej niewiasty. Do dziś wspomina lud o licznych gajach lipowych przez nią zakładanych, które dawały doskonałe pożywienie pszczołom.

VIII.

W tak wielkiej świątobliwości żyjąc Kunegunda postarzała się i ze spokojem oczekiwała końca dni swoich, kiedy w r. 1287 wpadli po raz trzeci za życia Kunegundy Tatarzy do Polski i znowu ją srodze spustoszyli. Wyszłe naprzeciw polskie rycerstwo nie zdołało się im oprzeć. Król polski, Leszek Czarny, jak dawniej Bolesław, musiał uchodzić do Węgier.

Święta Kunegunda znając srogość dzikiej hordy, a nie czując dość bezpieczeństwa w niedokończonych murach klasztoru, postanowiła z swemi zakonnicami także uciec dalej w góry. Ale św. Kunegunda miała już 61 lat, tyleż św. Jolenta, a zaś najstarsza pomiędzy zakonnicami, św. Salomea, liczyła przeszło 75 lat życia. Ucieczka zakonnic w góry szła więc po maleńku i uciążliwie, a tu Tatarzy ścigali. Cudownie też prawie obronił Bóg święte niewiasty przed poganami i doprowadził szczęśliwie w bezpieczne miejsce, do znanego nam zameczku św. Kunegundy. Liczne opowieści o św. Kindze z tego czasu krążą dotąd między ludem.

Ustąpili wreszcie Tatarzy zupełnie z polskiej ziemi, ale srogo zapisali się w pamięci narodu polskiego, uprowadzając w haniebną niewolę przeszło 21 tysięcy dziewcząt polskich, nie licząc tylu innych dotkliwych strat, jakie nowy ten pobyt ich na ziemi naszej sprowadził.

Po kilkunastu tygodniach tułactwa wróciła też Kunegunda ze swojemi siostrami zakonnemi do Sącza. Klasztor ocalał cudownie. Świętej Kindze przybyło znowu wielu nieszczęśliwych, których trzeba było pocieszać, nakarmić, napoić, nauczyć zdawania się na wolę Boską bez szemrania. Na takiej pracy upłynęło jej lat pięć.

Tymczasem wśród ciągłego pełnienia uczynków miłości względem bliźnich i ścisłego zachowania ostrych reguł klasztornych, zaczęła święta niewiasta słabnąć na siłach i jak to u ludzi pobożnych często widzimy, przewidywała swój zgon. Modląc się dniem i nocą, a przytem nie ustawając w pracy, zakończyła Kunegunda świątobliwy swój żywot 24 lipca 1292 roku, przeżywszy lat 68. Pochowana uroczyście spoczywa w Starym Sączu, w klasztorze przez siebie fundowanym, w osobnej kaplicy, gdzie dotąd w srebrnej trumience przechowane są jej święte relikwie.

Świętem musiało być życie Kunegundy, kiedy po śmierci zapisano liczne cuda i łaski za jej sprawą zdziałane.

Czczoną za życia, uważali ją po śmierci Polacy za szczególną swą opiekunkę, aż za staraniem Jana Sobieskiego papież ówczesny Innocenty XI policzył ją w poczet błogosławionych; jego następca Alexander VIII dekret potwierdza; Innocenty XII za patronkę naszą ogłosił, a Benedykt XIII w roku 1728 podniósł jej uroczystość dla Polski do święta pierwszorzędnego z oktawą.

SKAŁA SIEDMIU SIÓSTR.

Legenda z prowincyi Nadreńskich.

Nad brzegiem Renu w blizkości Allerheiligen leży tajemnicza dolina, olbrzymiemi dębami zarośnięta.

Otóż przed wielu laty osiadł w niej pewien bogobojny zakonnik, i wkrótce tak dalece zasłynął w całym kraju ze świętobliwego życia, że małżonka jednego z najpotężniejszych baronów przyniosła swego pierworodnego syna, pragnąc, żeby chrzest św. przyjął z ręki tak zacnego pustelnika.

Dziecię znakomitego rodu, doszedłszy do pełnoletności, zostało wojownikiem, znanym pod imieniem rycerza Walter; w miejscu, gdzie stał szałas biednego pustelnika, rycerz ów rozkazał zbudować piękną kaplicę, a zwłoki zmarłego wówczas zakonnika, pochować z należną wspaniałością.

Następne kilka lat przeszły walecznemu Walterowi na wojowaniu z nieprzyjaciołmi i na pokonywaniu tychże.

Po spełnieniu wielu odważnych czynów wrócił do kraju rodzinnego, zaślubił piękną i cnotliwą dziewicę i żył z nią w szczęściu i dostatkach.

Straszny jednak cios podobało się Stwórcy zesłać na niego.

Jednego dnia, o jednej godzinie stracił syna jedynaka i ukochaną żonę. Smutny i zrozpaczony postanowił udać się na pielgrzymkę do miejsc świętych, czując, że tylko przy grobie Zbawiciela znajdzie siły i ochotę do dalszego życia.

Nieboszczka zostawiła mu siedm cór, siedm kwiatów raczej, które w ciszy i w pracy pędziły pobożny żywot, zdala od świata i jego pokus.

Widząc rozpacz ojca, same zachęcały go do pielgrzymki i obiecywały modlić się do Boga o skutek pomyślny wycieczki, i o powrót rychły do rodzinnego ogniska, chociaż czuły biedaczki, jak smutnym będzie ich żywot bez ojca.

Baron postarawszy się o zabezpieczenie dla córek, udaje się sam w obce kraje, zostawiwszy dzieci na opiece Nieba i zaufanych dworzan.

Rok przeszedł.

Wiosna zazieleniła gaje, zakwitły kwiaty, i piękne córy, zwijając wieńce, dumały radośnie o prędkim powrocie ukochanego ojca, którego podróż miała trwać dwa lata. Z nową chęcią wzięły się do roboty wielu kosztownych niespodzianek, które przygotowywać chciały dla niego.

Spokój ich cichego życia nagle został zamącony.

Dolina cała drżała z przerażenia, słysząc o hordzie dzikich wojowników, którzy paląc, rabując i niszcząc, zbliżali się coraz bardziej, mordując lud i depcząc łąki tak niedawno przebiegane przez niewinne baronówny. Cóż to za lud dziki? cóż to za potwory?... To Hunnowie, naród dziki, przybyły w celach zaborczych aż ze Wschodu, żywiący się, jak głoszono ciałem ludzkiem, i pijący krew niewinnych dziewic!...

Jak szarańcza, spadł ten dziki naród na wsie spokojne, na ludzi uczciwych; wycinając i paląc miasteczka; zamki w zgliszczach pozostawiając za sobą, pędzą coraz dalej, za niemi idzie szlak krwi — szlak łez. Dumny Ren wstrzymał chwilowo ich pochód. Chciwe spojrzenia rzucają z brzegu na żyzną bogatą Francyą.

— Hej! szykujcie tratwy! — woła wódz — przepłyniemy rzekę, toć to nam nie pierwszyzna!

Na ten rozkaz żołnierze pędzą w las, i wkrótce wysokie sosny i stuletnie dęby z głuchym jękiem padają pod ciosami przeklętych siekier.

Pierwszą rzeczą, która wpadła im w oczy po wylądowaniu, był zamek siedmiu sióstr, położony w najpiękniejszej dolinie,

widok ten zda się nowych dodał im sił, z taką mocą i z takim wrzaskiem rzucili się na mury zamczyska.

Krótka była obrona walecznych dworzan, po ich trupach dzicy żołnierze wpadli w podwórzec.

— Boże wszechmogący! — wołały pobladłe z przestrachu baronówny — ocal lepiej cześć, niż życie...

Stary pokojowiec wierny im do ostatniego tchnienia, nadbiegł wzburzony, malenkim kluczykiem zawieszonym na piersiach otworzył drzwiczki, umieszczone w rogu jednej z komnat:

— Uciekajcie! w imię Boże, szlachetne dziewice — wyszeptał — podziemie to znane tylko mnie jednemu doprowadzi was do kaplicy, zbudowanej ongi przez waszego czcigodnego ojca. Uciekajcie tam i skryjcie się przed niebezpieczeństwem. Barbarzyńców może mi się uda zatrzymać w zamku, przy pijatyce i podziale skarbów. Pan Bóg, jeżeli zechce, to dom swój uchroni przed ich grabieżą!...

Rzekłszy to, zamknął drzwiczki za siostrami, które z początku, drżąc, błądziły po omacku w nieznanem miejscu; niezadługo jednak klęczały przed ołtarzem, błagając Stwórcę o litość nad niemi, gdyż znalazły drzwi, prowadzące do kaplicy.

Podły zdrajca w osobie jednego z dworzan barona, w nadziei zysku wydał przed Hunnami, że w kaplicy ukryło się siedem pięknych sióstr.

Zkąd on się o tem dowiedział? niewiadomo! Nie znając jednak podziemia poprowadził rabusiów pijanych dalszą drogą to jest przez las aż do miejsca świętego.

Doszedłszy do kościoła a raczej kaplicy, barbarzyńcy chcąc nie chcąc musieli się zatrzymać, drzwi bowiem zwyczajne, drzwi dębowe nie dają się w żaden żywy sposób otworzyć.

Niektórzy odważniejsi lub więcej pijani drapią się do wązkich okien, szczelnie okratowanych i z dziką radością przyglądają się przyszłym ofiarom.

Siedem sióstr klęczy przed obrazem. Jedne blade jak lilie, drugim przeciwnie groza położenia krwawe na twarzach powypiekała plamy, klęczą poprzytulane do siebie, włosy im się rozwiały, tworząc uroczą grupę jakby siedmiu białych aniołów przed tronem Boga.

Słyszą wrzaski pijanych zbrodniarzy, słyszą ich dobijania bezskuteczne do drzwi kaplicznych; twarze wstrętne dają się widzieć w oknach zeszpecone jeszcze okrucieństwem i chęcią wdarcia się do tego przybytku — przybytku poświęconego.

Na widok jednak tych twarzy, na widok tego strasznego niebezpieczeństwa wiara w miłosierdzie Boże w sercach bogobojnych niewiast wzrasta.

— Módlmy się! módlmy się siostry! — woła wielkim głosem najstarsza, o pomoc do Boga może po raz ostatni w życiu!...

Głos jej dźwięczno zaintonował litanię do Przeczystej Panny, pozostałe do najmłodszej, dziecka prawie, odpowiadały chórem: "Módl się za nami!"

Barbarzyńców widok ten najbardziej nie wzrusza, przeciwnie jeszcze bardziej pragną krwi niewinnej; myśl im nowa zaświtała w głowie, rzucili się wszyscy w las, ażeby ściąć sosnę i nią podważyć drzwi.

Znaleźli, ścięli; wracają, ale napróżno dzikim wzrokiem szukają kaplicy — na niej u przybytku Bożego znajduje się kamienista skala miejscami pokryta mchem.

Wściekli Hunnowie wyją niemal, tłukąc kamiennemi młotami powierzchnię skały, i w tej chwili hymn wielki, poważny, hymn zmarłych odpowiada im z łona kamiennego.

Słysząc ten śpiew anielski barbarzyńcy potracili głowy, strach paniczny ich opanował, tłumnie rzucili się ku rzece, uciekając

co prędzej z cudownego miejsca i oswobodzając przez to samo dolinę od dalszych mordów i rabunków.

Podróżny, przechodzący dolinę nadreńską, do dziś dnia może zobaczyć skałę siedmiu sióstr — niekiedy o szarej godzinie, gdy cisza zapanuje w naturze, człowiek, jeżeli jest religijny i wierzący, może usłyszeć wychodzący z głębi skały śpiew cichy a słodki. Na te dźwięki tajemnicze niechaj uklęknie i wraz z siedmioma siostrami zawoła z głębi duszy: "Módl się za nami", a wszelka jego prośba wysłuchaną będzie, jeżeli tylko jest zgodna z wolą Przedwiecznego Ojca.

Obrona Trembowli.

Ciąg dalszy.

Na szczycie góry, w Podolskiej ziemi,
Stoi Trembowla, zamków królowa,
W krąg opasana baszty ciemnemi,
Stoi samotnie smutna jak wdowa.

Z wałów daleko sięga źrenica,
U stóp zarośla, dzikie parowy
A dalej bujnych łąk okolica,
Pod szmaragdowym lasem dąbrowy.

Lecz skoro groźny kometa krwawy,
Złowróżbną rózgę zawiesi w niebie,
W dymie, w obłoku gęstym kurzawy,
Duch piekieł lasy, pola zagrzebie.

Wódz Muzułmanów, Ibraim Basza,
Tłumy pohańców ściągnął ze wschodu,
Hukiem dział wilków z lasów wystrasza,
Ludziom śmierć niesie ognia i głodu.

Liczne morderczych machin paszczęki,
Zioną płomieniem i w dzień i w nocy,
Ziemia wydaje grobowe jęki,
Lecz twierdza szydzi z szatańskiej mocy.

Stoi rycerskich wieków spuścizna,
Na straży dawnej narodu sławy,
Stara jak nasza matka Ojczyzna,
Każdy wiek na niej wyrył swe sprawy.

* * *

W narożnej baszcie, w starej komnacie,
Przyklęka pani jak marmur blada,
Z różańcem w ręku i w czarnej szacie,
Przed krzyżem Zbawcy na twarz upada.

Obok syn klęczy, młode pachole,
Kornie się modli złożywszy dłonie,
Rozważa męki Chrystusa bóle,
I wzrok w cierniowej utkwił koronie.

Nagle rozwarte brzękły podwoje,
Wchodzi pan zamku odziany w zbroi,
Tłumi żal w sercu i niepokoje,
A jak duch niemy na progu stoi.

Niewiasta zwolna z ziemi powstała,
Patrzy w twarz męża, cichą, ponurą,
Więc jak topola gibka zadrżała,
Twarz jej zmroczyła się lekką chmurą.

Mąż milczy jeszcze, więc ona woła,
Biorąc za rękę małego syna,
"Złą wróżbę czytam z twojego czoła,
Mów zła, czy dobra bije godzina.

Mów, wiesz, że śmierci ja się nie boję,
Wiesz, że w kolebce jam w krwi skąpana,
I za poduszkę dziad mi dał zbroję,
Kiedy mię wyrwał z jassyru Hana."

""Złą wieść ci niosę, złą, moja miła,
Naszym wytrąca miecz z rąk trwoga,
Mówią, że wielka wrogów jest siła,
I że nas czeka ich zemsta sroga.

Bóg mi jest świadkiem, życia nie cenię,
Kroplę krwi każdą, Pan płaci w niebie,
Jeżelić jeno czyste sumienie,
Lecz żal mi miła dziecka i ciebie.""

"O Samuelu, twojeż to słowa?
Tobie żal dzisiaj syna i żony,
Mam serce matki, alem gotowa,
Poświęcić dziecko me dla obrony.



Miłosierdzie w murach klasztornych.

Nie mów mi tego, o Samuelu,
Bo cię tu nieme słuchają ściany,
I bohaterów umarłych wielu,
Patrzy na każdy czyn dokonany.

Spojrzyj w ten obraz, w twarz mego dziada,
Tak jest podobny, jakby stał żywy,
Czasami czekam czy niezagada,
Widzę to oko i ten włos siwy....

Boć on w mej zawsze przytomny duszy,
Choć starzec, miał on serce młodziana,
Nie zaznał innej w życiu katuszy,
Bratniej go sławy bolała rana.

Dobrze pamiętam krwawą godzinę,
Kiedy mi matkę zabili w nocy,
A on mię małą wtenczas dziewczynę,
Odbił, i wyrwał z Tatarskiej mocy.

Pomnę jak pędził ze mną po błoniu,
Jak łódź na morzu z wiatrów muzyką,
Wołając ciągle: dalej mój koniu!
Raz jeno w przestrzeń spojrzał się dziką.

Widzi, nad Dniepru stanąwszy brzegiem,
Że wróg jak chmura za nami goni,
Więc skoczył, piana bryznęła śniegiem,
A dzielny żeglarz śmieje się z toni.

Koń dobił brzegu, zarżał wesoło,
Pan go pogładził i dalej lecą.
Stare kurchany tańczą w około,
A gwiazdy w niebie jak duchy świecą.

Tak przez noc całą, do wschodu słońca,
Lecim, chłód nasze czoła owiewa,
Lecim po wielkim stepie bez końca,
Gdzie jeno czasem wiatr nam zaśpiewa.

Pomnę jak koń nasz stanął przed domem,
Pustki w około, a matka w grobie,
Więc pod boleści ciężkiej ogromem
Płaczę i serce więdnie w żałobie.

Dziad mój to widzi, a więc mi rzecze:
Nie płacz dziewczyno, choć dola sroga,
Bóg o sierocie będzie mieć piecze,
Gdy cię ocalił cudem z rąk wroga.

A skorom wzrosła, rzekł: dziewko moja!
Ojciec w Chocimskiej zginął wyprawie,
A od Tatarskich strzał matka twoja,
Wierna do grobu poczciwej sławie.

Twój ród dzielnemi znaczył się czyny,
Więc w mężu twoim uszanuj blizny,
Niech wierze ojców nie skłamią syny,
Nie szczędź twych dzieci w sprawie ojczyzny.

Te słowa w biednem sercu sieroty
Wyryte odtąd złotemi głoski,
Nadały hart jej naddziadów cnoty,
I marą były mi życia troski.

Nie miałam matki, ojca ni brata,
Dawno pod trumny oni śpią wiekiem,
Ale znośniejszą była mi strata,
Bo miłość ziemi wyssałam z mlekiem.

Płochej rozkoszy czarów nieznałam,
Nie dla mnie złotych motylów kwiatki,
Bo jak samotny krzew wyrastałam
W sercu i z serca ziemi mej matki.

Ona mem była szczęściem i światem,
A moją chwałą wspomnień jej chwała,
I ten był moim kochankiem, bratem,
Kogo swym stróżem ona uznała.

Z pośród rycerzy znanych mi wielu,
Wybór na ciebie padł Samuelu,
Bo byłeś mężem sercem i głową,
A w twarzy twojej czytałam blizny,
I na najświętsze przysiągłeś słowo,
Że będziesz wiernym synem ojczyzny.

Jesteś mym mężem, więc porzuć żale,
Nie czas dziś myśleć o losie żony,
Ja sama z synem stanę na wale,
Słyszysz?... kraj wzywa nas do obrony!"

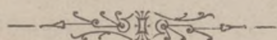
Rzekła i ręką na wał wskazała,
Krasą jej słońca jaśniały lica,
A kiedy zbroję lśniącą przywdziała,
Wybiegła groźna gniewem jak lwica.

Ona najpierwsza stanęła w dziele,
Za nią Samuel Chrzanowski bieży,
A widząc panią zamku na czele,
Garnie się zewsząd zastęp rycerzy.

Więc przez dzień cały z chorągwią w dłoni,
Jak Anioł mściciel z mieczem i w zbroi,
Z aureolą światła na skroni,
Niewiasta-rycerz na wałach stoi.

I przez dzień długi do późnej nocy,
Piorunnym hukiem ziemia jęczała,
A serca mężnych szydzą z przemocy,
I nieustają bić z wałów działa.

Dalszy ciąg nastąpi.



ŚWIĘTY EUSTACHIUSZ.

Dramat historyczny w pięciu odsłonach.

Przełożył na polskie Ks. J. Gieburowski, C. R.

OSOBY:

Trajan, Hadryan — Rzymscy cesarze.
Eustachiusz (Placyd), Rzymski dowódzca.
Teopista, jego małżonka
Agapiusz, Teopist — synowie ich
Plutarch, grecki filozof
Pliniusz młodszy, wielkorządzca Bitynii
Preboniusz, prefekt cesarskiej przybocznej gwardyi
Floriusz, Lukan — Rzymscy setnicy
Akacyusz, Antyoch — Rzymscy żołnierze
Klemens, stary egipski wieśniak
Klit, jego syn
Klara, żona Klita
Felix, Narcyz — ich dzieci
Licyn, sługa cesarski

Senatorowie, westalki, liktorzy, żołnierze i lud.

Rzecz dzieje się częścią w Rzymie, częścią w Egipcie, około roku Pańskiego 100-120.

ODSŁONA PIERWSZA.

Rzecz dzieje się przed wiejskim domem w Egipcie.

Pierwsza Scena.

Klemens, Felix i Narcyz.

Dzieci bawią się w piłkę; Klemens plecie koszyk, a kiedy dzieci przestają bawić się, mówi:

Narcyz (*zbliżając się do Klemensa*). Dziadusiu kochany, czy mama i tatka wrócą niedługo do domu? Bo już ciemno się robi.

Klemens. Również nie mogę się doczekać ich powrotu. Ale z pewnością dla wielkiego upału wyszli późno w pole do pracy i dla tego wrócą też cokolwiek później wieczorem. I dla mnie byłoby miłem, gdybyśmy się w tej chwili znaleźli wszyscy razem. Nasi sąsiedzi są wszyscy, jak wiecie, poganami, i nam nie przychylni, — owszem wychodzą na naszą zgubę. A kiedy nam wyrządzą krzywdę, nie mamy znikąd pomocy; ciągle musimy być przygotowanymi na wszelkie niebezpieczeństwa; nigdy nie jesteśmy pewni życia, bo władza pogańska nie bierze nas w opiekę.

Felix. A czy ci poganie odpadli od naszej wiary?

Klemens. Nie, moje dziecko; ci poganie są starszymi od nas chrześcian; ja sam byłem w mej młodości poganinem, ale za łaską Bożą przyszedłem do poznania Prawdy — zostałem chrześcianinem, za co niechaj będą stokrotne dzięki Bogu Najwyższemu.

Narcyz (*przysłuchując się pilnie wywodom Klemensa.*) Ale czemu nas ci poganie tak nienawidzą? Przecież my im nie życzymy nic złego.

Klemens. Dla tego, mój Narcyzie, bo coraz więcej pogan się nawraca, a wskutek tego jest ich coraz mniej a chrześcian coraz więcej. Potem dla tego, że chrześcianie żyją cnotliwie, a ludzi cnotliwych źli znieść nie mogą, bo źli przeglądają się w cnotach dobrych jakoby w zwierciadle, w którem widzą, jakimi być powinni a nie są.

Felix. Czy także gdzieindziej są chrześcianie?

Klemens. Tak, moje dziecko, są wszędzie; w całem państwie rzymskiem są tysiące chrześcian, i z pewnością przyjdzie czas, w którym pogan wcale nie będzie. Teraz poganie stanowią jeszcze większość; wszyst-

kie urzęda są nimi obsadzone, — nawet cesarz jest poganinem; ale skoro tylko zasiądzie na tronie cesarz chrześciański, pogaństwo szybko będzie się chyliło ku upadkowi.

FELIX. Mój ojciec powiedział mi raz, że chrześcianie już wiele musieli wycierpieć od pogan. Czyż tak jest?

KLEMENS. Tak, niestety! cesarze rzymscy, a mianowicie okrutny Neron, dziesiątki tysięcy chrześcian wydali na najokrutniejszą śmierć; — także Trajan, obecny cesarz, chociaż dobrze rządzi krajem, już wiele krwi chrześciańskiej przelał. I sami poganie napadali często chrześcian, mordując ich okrutnie.

NARCYZ. Dziadzio, ty mnie przerażasz! Boże Wielki, oby nie stało się coś złego ojcu i matce, oby już przecież powrócili.

KLEMENS. Nie troszcz się zbytecznie, mój Narcyzie! Nasi pogańscy sąsiedzi nie dopuścili się dotąd żadnych morderstw; — a przed jakiemikolwiek okrućieństwami, których się jeszcze mogą dopuścić, Bóg Najmiłościwszy będzie nas strzegł. Oddajcie się, moje dzieci w opiekę Bogu, śpiewając modlitwę wieczorną, której was nauczyłem:

Wszystkie nasze dzienne sprawy,
Przyjm litośnie Boże prawy,
A gdy będziem itd. itd.

Druga Scena.

KLEMENS, NARCYZ, FELIX i EUSTACHIUSZ.

EUSTACHIUSZ (*w ubiorze rzymskiego szlachcica wchodzi strudzony*). Przebaczcie mi, jeżeli wam przeszkadzam! Jestem okrutnie zmęczony, — proszę was o szklankę wody. Poznałem ku mej wielkiej pociesze z waszego śpiewu, żeście chrześcianami, a nasz Zbawiciel przecież powiedział, że każda kropla wody podana pragnącemu sowicie będzie wynagrodzoną.

KLEMENS. Bądź pozdrowiony, przybyszu, jeszcze raz bądź pozdrowiony, — proszę, odpocznij na tej ławce, bo widzę, żeś bardzo zmęczony. — Feliksie, idź przynieś szklankę wody, a ty, Narcyzie, przynieś chleba!

EUSTACHIUSZ. Szlachetny starcze, oto masz przed sobą człowieka nieszczęśliwego, który nieszczęśliwszym już być nie może; opowiedział bym ci całe moje nieszczęście, którem mnie Bóg nawiedził, alem zanadto osłabiony. (*Zemdlony opiera się o ścianę, przyspieszając oddech.*)

FELIX. Oto świeża woda, szlachetny przybyszu.

NARCYZ. Oto chleb i cokolwiek owocu.

EUSTACHIUSZ. Dziękuję wam serdecznie, moje dzieci; niech wam to Bóg miłościwy zapłaci (*odwracając się do Klemensa*). Czyjeż to są te piękne dzieci?

KLEMENS. To dzieci mojego syna, który oto wraca z pracy pólnej.

Trzecia Scena.

Ci sami, KLIT i KLARA.

KLEMENS (*do Klita*). Właśnie, mój synu, dostałem gościa, który się chce u nas cokolwiek pokrzepić, bo bardzo pokrzepienia potrzebuje.

KLIT. Witaj przybyszu, kim jesteś?

KLARA. Witaj nam! (*przysuwając mu jedzenie.*) posil się tym ubogim pokarmem, który ci podajemy; podajemy ci w naszem ubóstwie co mamy. (Ciąg dalszy nastąpi).

OD ADMINISTRACYI.

Wszystkich pp. Abonentów, którzy zalegają z prenumeratą, uprasza się o niezwłoczne nadesłanie tejże. Każdy dolar w obecnych ciężkich czasach jest nam bardzo potrzebny. Podwójnie więc będziemy Szan. Abonentom wdzięczni, gdy nam nadeślą to-co się nam sprawiedliwie należy. Zwracamy się szczególniej do tych, którzy za dwa a nawet za trzy lata abonamentu nie zapłacili i prosimy ich raz jeszcze o uregulowanie rachunku.

PRZYJACIEL DZIECI.

Następne stronice poświęcimy wyłącznie dla dzieci i pod powyższym tytułem zamieszczać będziemy nauki dla dzieci, krótkie powiaski moralne, piękne przykłady z historyi polskiej oraz zachęcać będziemy naszych małych przyjaciół, naszą dziatwę kochaną, aby po Bogu nadewszystko kochała rodziców, ojczyznę i mowę polską.

MAŁY ROBINSON

W PUSZCZY AMERYKAŃSKIEJ.

Ciąg dalszy.

II.

Burza. — Rozbicie okrętu. — Łódzie ratunkowe. — Parowiec. — Uratowanie rozbitków. — Brak wody na okręcie. — Przybycie do Portu.

Podróżnicy nasi już od dni kilkunastu byli na morzu i ojciec mówił, że zapewne niezadługo dopłyną do amerykańskiego miasta Nowego Yorku. Opowiadał też często ojciec, że w tej części Ameryki, gdzie oni zamieszkać mieli, klimat jest bardzo zdrowy, umiarkowany, tak prawie, jak w naszym kraju; więc niema tam, ani zbyt wielkich mrozów, ani dokuczliwych upałów; drzewa rosną podobne do naszych i leśne i owocowe, w polach zasiewają takież same zboże, ale ziemia jest niezmiernie urodzajna i prędko na roli można duży majątek zebrać.

Mama słuchała tego z westchnieniem i tylko tą myślą się pocieszała, że jak zbiorą choćby niezbyt wielki majątek, zaraz powrócą do Sosnówki, ukochanej wioski, gdzie przez lat tyle byli szczęśliwi.

Dnia pewnego, ranek był piękny, pogodny, lecz około południa zaczął się wiatr zrywać i dął coraz silniej w ogromne żagle okrętowe. Na morzu podnosiły się fale ogromne, przewracały się z szumem i łoskotem, pokrywały się pianą białą, a niebo zasuwało się powoli czarnemi chmurami. Matka Janka była dnia tego trochę niezdrowa, nie wychodziła ze swojej kajuty, chłopczyk z ojcem, jak zwykle, siedział lub przechadzał się na pomoście. Ale gdy się ten wicher zerwał, bałwany morskie zaczęły zalewać pomost i ojciec z Jankiem poszedł do matki.

— Co tam się dzieje? — zapytała mama niespokojnie — jakiś niezwykły hałas słychać na okręcie, bieganina ciągła, czy się co złego stało?

— Nic się nie stało — rzekł ojciec, udając spokój, chociaż głos miał bardzo zmieniony — tylko zdaje się, że burza się zrywa.

— Burza! o mój Boże! — jęknęła mama.

— Nie przestraszajże się, moje życie — powiedział ojciec — na morzu często zdarzają się burze, czyż koniecznie zaraz ma być nieszczęście? Siedźcie tu spokojnie z Jankiem, a ja pójdę na pomost i zobaczę, co się dzieje.

I poszedł ojciec, a Janek usiadł przy mateczce, przytulił się do niej, ona zaczęła głośno odmawiać pacierz, chłopczyna milczał, nie chcąc jej przeszkadzać, półgłosem tylko powtarzał słowa modlitwy. Hałas nie ustawał, a nawet zwiększał się ciągle. Wicher wył straszliwie, fale rozbijały się z łoskotem, a wśród tego okropnego szumu, ryku i huku, odzywały się kiedyniekiedy krzyki majtków i donośny głos kapitana, który wydawał rozkazy. Zrobiło się tak ciemno, jak gdyby noc zapadła, a jednak było dopiero po południu. Okręt tak się kołysał i rzucał na wszystkie strony, że matka z Jankiem z największą trudnością mogła się utrzymać w kąciku na ziemi, gdzie

oboje siedzieli skuleni. Ojciec wchodził co kilka minut do kajuty i starał się ich uspokoić, mówił, że kapitan czyni, co tylko można, aby okręt od nieszczęścia uchronić, że kazał pozwijać żagle, maszty nawet niektóre już odrąbano, bo w czasie takiej burzy wicher to wszystko łamie, gruchoce i rozrywa, a przez to i sam statek uszkodzić może.

Czas upływał, burza nie ustawała ani na chwilę, mama ciągle się modliła, Janek myślał o Robinsonie i strasznie mu się na płacz zbierało. W tem nagle stuknęło coś okropnie, okręt tak się wstrząsł cały, że Janek wypadł z rąk matki i potoczył się aż na drugi koniec kajuty, potem znów wszystko raptem ucichło, okręt przestał się rzucać, tylko wicher zawył najokropniej i fale rozbijały się ciągle, ale już nie tak gwałtownie. Drzwi się otworzyły, wszedł ojciec.

— Co to jest, czy burza ustaje trochę? — spytała mama, ale ojciec milczał, jakby nie mógł słowa wymówić, tylko usiadł przy nich na podłodze i Janka przytulił do piersi.

— Powiedz mi, co to jest? — pytała znów matka z przerażeniem.

— Burza się uspokaja — rzekł nakoniec ojciec — ale wielkie niebezpieczeństwo nam grozi, bo okręt zahaczył się na rafie podwodnej.

— Ach! Boże wielki, zlituj się nad nami — zawołała biedna matka i załamała ręce.

— Kapitan kazał spuścić łodzie ratunkowe na wodę, jest ich kilka i wszyscy się na nich pomieszczą — mówił dalej ojciec — nie traćmy czasu, zabierajmy co można i bądźmy gotowi. Łodzie są duże i wygodne, jeśli burza ustanie, możemy się jeszcze uratować.

Janek już teraz na dobre się rozpłakał. Wszystko się składało zupełnie jak w Robinsonie, ale on wcale nie był rad temu; wolałby był spokojną, nudną podróż, bez tych nadzwyczajnych przygód, które są bardzo zajmujące w książkach, a w rzeczywistości nieprzyjemne i straszne.

Rodzice tymczasem zbierali rzeczy, pakunków wiele nie można było zabierać, żeby nie obciążać łodzi; więc mama zrobiła tylko małe zawiniątko z bielizny i sukienek Janka, owinęła go w ciepłą chustkę, ojciec pugilares z pieniędzmi i ważnemi papierami schował na piersiach, wziął synka na ręce i po chwili wszystko troje stali na pomoście.

Burza uspokoiła się znacznie, wicher ustał, chmury się rozsunęły na niebie i słońce zajaśniało na zachodzie. Ale cóż z tego, kiedy okręt był przedziurawiony, coraz głębiej zanurzał się w wodę, za chwilę miał zatonąć. Łodzie podpłynęły, kapitan sam wszystko rozporządził, na największej i najwygodniejszej łodzi umieścił rodziców z Jankiem, wsiadło wraz z nimi kilkunastu innych podróżnych, nareszcie wskoczyło kilku najlepszych majtków, reszta zabrała się na inne łodzie i szybko odpłynęli.

Janek zmęczony i spłakany zasnął na kolanach matki. Gdy się przebudził, wśród nocy ciemnej ruch nadzwyczajny był na łodzi, wszyscy rozmawiali głośno, jakby z radością jakąś, a jeden z majtków stał i trzymał w ręku zapaloną pochodnię na długim kiju.

— Co to, matuniu, co to! — wołał Janek, przecierając oczy i przypominając sobie wszystko: że okręt się rozbił, a on, jak prawdziwy Robinson, ratował się na łodzi.

— Dziękujmy Bogu, moje dziecko — rzekła mama głosem wzruszonym — jesteśmy ocaleni. Spotkaliśmy okręt parowy, jest niedaleko, majtkowie nasi spostrzegli latarnie okrętowe, zaraz zapalili pochodnie, ażeby nas także spostrzeżono i już dano znak z okrętu, śpieszą nam na ratunek.

Nadpłynął wkrótce parowiec, buchający dymem, jak lokomotywa, kapitan stał na pomoście, w kilku słowach rozpytał się, co

się stało, kapitan rozbitego okrętu odpowiedział równie krótko i natychmiast wszystkich rozbitków zabrano na okręt. Janek zasnął znów bardzo prędko i spał tak doskonale, że przebudził się dopiero około południa dnia następnego.

Przebudziwszy się, usłyszał Janek przyciszoną rozmowę rodziców, którzy siedzieli oboje przy jego łóżeczku i wyglądali bardzo zmartwieni i przygnębieni; ojciec miał twarz ukrytą w dłoniach, a mama łzy ocierała i wzdychała ciężko.

— Mamuniu — zawołał chłopczyna przestraszony — czy znowu jakie nieszczęście się stało? może burza się zrywa!

— Uspokój się, moje dziecko — odrzekła mama, biorąc go w objęcia — od nieszczęścia Bóg dobry nas uchronił, skoro zachował nam życie i zdrowie, ale jesteśmy w wielkim kłopocie, bo ten parowiec, który nas zabrał, płynie do Ameryki południowej i wysadzi nas w porcie Pamaribo, w Guyanie. Ojcu tak mało pozostało pieniędzy, że nie będzie miał za co przewieźć nas stamtąd do Nowego Yorku. Sami więc teraz nie wiemy, co począć.

— A to czemuż tatko nie chce mieszkać w południowej Ameryce? — zapytał Janek — czyż to nie wszystko jedno.

— O, wcale nie — powiedziała mama — klimat w tej strefie gorącej jest niezdrowy, a potem, nie wiemy, jakim sposobem tam znaleźć sposób do życia. W Nowym Yorku ojciec miał już pomoc przyobiecaną, mieliśmy zamieszkać w osadzie, gdzie jest kilka rodzin polskich.

— Ale nie trzeba się martwić zbytecznie — odezwał się ojciec — byleśmy tylko byli zdrowi, wszędzie jakoś przy pomocy Bożej damy sobie radę.

Janek też nie bardzo się martwił, tylko pragnął gorąco, ażeby już okręt przybył do portu. Podróż morska strasznie mu dokuczyła, ciągle się obawiał burzy i zdawało mu się, że wszędzie mu będzie dobrze, czy w północnej, czy w południowej Ameryce, byle tylko na lądzie.

Parowiec płynął wciąż na południe i gorąco coraz więcej czuć się dawało naszym podróżnikom. W nocy nawet tak było parno i duszno, że Janek ciągle się pocił, a przez dzień cały pić mu się chciało co chwila. Tu jednak na okręcie nie łatwo było o wodę, codziennie dla każdego wydzielano niewielką flaszeczkę i trzeba było na tem poprzestać. Nakoniec dnia pewnego dano tylko połowę tej porcyi i powiedziano, że wody do picia już zabrakło, bo parę beczek, złożonych na dnie okrętu, przypadkiem jakimś się przedziurawiło.

Janek wiedział już o tem, że woda morska jest gorzka i słona, nie może więc służyć za napój, to też przestraszył się bardzo, dowiedziawszy się o takim smutnym przypadku. Matka pocieszała go, jak mogła, sama zaledwie usta sobie odwilżała, wszystko prawie, co wydzielano dla niej, oddawała synowi, ale to było bardzo mało. Biedny chłopczyna cierpiał okropnie, w ustach mu tak zasychało, że śliny przełknąć nie mógł, główkę miał gorącą, matka obawiała się, aby nie dostał gorączki. Nie chciał patrzeć na morze, bo utrzymywał, że widok tej wody, której pić nie było można, większe jeszcze pobudza pragnienie. Gdy tak raz popłakiwał z cicha, przytulony do kolan mamy, na pomoście ozwał się nagle okrzyk: ,,Ziemia! ziemia!'' powstał ruch ogromny na okręcie, kto żył wybiegał na pokład, a Janek klasnął w rączki radośnie, wołając:

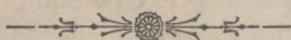
— Ach, mamo! będzie woda, będzie woda!

Zabawnie to było, że ów okrzyk: ziemia, zwiastował wodę. W rzeczy samej nie upłynęła i godzina, a już okręt zbliżył się do portu i nim jeszcze podróżnicy na ląd wysiąść zdążyli, na łodziach, płynących od brzegu, pojawili się przekupnie z różnemi

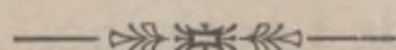
zapasami żywności, soczystemi owocami i dzbankami świeżej wody.

Janek, dorwawszy się do upragnionego napoju, byłby chętnie cały dzban wypróżnił, ale rodzice jego wiedzieli, że to bardzo niebezpiecznie przebierać miarę w jedzeniu lub piciu, jeżeli się przez czas dłuższy doznawało głodu lub pragnienia. Pomimo próśb, a nawet i płaczu, dano mu tylko małą szklaneczkę wody, a i tę musiał wypić pomaleńku, bardzo ostrożnie.

Ciąg dalszy nastąpi.



Żądło pszczoły.



Dziesięcioletni Karolek, syn majętnego ziemianina, przyzwyczaił się z mała, uważać służących w domu, za ludzi podrzędnych, którym dokuczać grymasami, niegrzecznemi wyrazami, a nawet prześladowaniem, miał sobie za nic; tak dalece, że już i rodzice spostrzegać zaczęli, jak ich syn źle sobie postępuje względem ludzi, którzy zmuszeni do służebności, aby zapracować na życie, nie przestali przecież być nam braćmi równymi w obliczu Boga i prawa: wyrządzić im krzywdę, jest zawsze karygodną nieludzkością. Karolek jednak rozpieszczony, nie bardzo chciał pojmować nauki rodziców; przestrogi nauczyciela zbywał dąsami; i tak szły rzeczy coraz dalej, można powiedzieć coraz gorzej, bo taka tylko zaszła różnica, że Karolek w obecności zwierzchników wystrzegał się postępowania nagannego; za to, gdy nikt na niego nie patrzał, przymus sobie zadany w dwójnasób wetował. Prawdziwą jego ofiarą, była uboga Małgosia, młodsza; miała ona nieforemne palce u rąk wskutek choroby, nie uszło to baczności wykwintnego panicza, zaczął się brzydzić Małgosią, do tego przyłączył szyderstwa, tak że biednej dziewczynie nie raz łzy wycisnął. Karólek zaślepiony, ani razu nie wspomniał sobie, że boski nasz nauczyciel Jezus Chrystus powiedział: ,,Kochaj bliźniego twego jak siebie samego'', a tem samem nie wyrządzaj mu krzywdy.

Pewnego dnia, przywieziono bardzo wiele miodu z barci w lesie, ucieszony Karolek wziął na talerz najpiękniejszy kawałek w plastrze; poszedł do pokoju, aby się uraczyć ulubionym przysmakiem; aliści za trzecim kęsem, uczuł ból niezmierny w bocznej stronie twarzy, zaczął krzyczeć przeraźliwie. Słysząc ten krzyk Małgosia, nadbiegła z sąsiedniego pokoju, gdzie bieliznę składała; widzi Karolka z szeroko rozwartemi ustami i stłuczony talerz z miodem; Karolek nic mówić nie może, tylko podnosi do ust wskazujące palce. Przytomnej Małgosi dosyć na tem, domyśliła się od razu co zaszło, obraca głowę Karolka do światła, i....... oszpeconemi przez chorobę, obrzydliwemi palcami, wydobywa z ust jego tkwiące żądło pszczoły!

Jedząc miód z pośpiechem, nie widział nic Karolek i pozostałe w miodzie żądło wcisnął sobie językiem w ciało.

Krzyk Karolka sprowadził i więcej ciekawych; po szczęśliwem wydobyciu żądła, mówiono powszechnie: ,,Nie trzeba nikim pogardzać, nikim się brzydzić, bo nikt nie wie, co go czeka. Karolek nie chciał nigdy nic wziąć z rąk Małgosi, aż tu Pan Bóg dał, że brzydkie jej palce samych ust jego dotykając, ważną im oddały posługę. Karolek zawstydzony upokorzony, uznał, że ludzie prawdę mówili; oby jednak nauka ta wyryła się głęboko w sercu jego, zmieniła złe na dobre; oby zrozumiał i uwierzył, że: im wyżej kto postawiony, im bogatszy, tem lepszy być powinien; im więcej otrzymał od Boga, tem więcej Bóg i ludzie od niego żądać mają prawo, tem większy i ściślejszy zdać będzie musiał kiedyś z łask odebranych rachunek.